

73 w 2018 (73)

# Drużyna jest najważniejsza

**Data publikacji: 20.09.2018 / Autor: Tomasz Maracewicz**

Od Redakcji: *Po dzisiejszy tekst ponownie sięgnęliśmy do sprawdzonej „Pobudki” (nr 6 z marca 2006 roku). Autorem jest [hm. Tomasz Maracewicz - MARABUT](#), drużynowy 1 Wodnej Drużyny Harcerzy w Gdańsku. O jego życiorysie można by napisać osobny artykuł, ale z racji na przesłanie tekstu na funkcji drużynowego się zatrzymajmy. Poniższy przedruk polecamy wszystkim, bo każdy instruktor na funkcji może czuć się jego odbiorcą: drużynowy rozważający jak dobrze przekazać drużynę, szczepowy planujący wyjazdy szczepu na najbliższy rok (sic!), czy druhowie siedzący w Głównej Kwaterze którzy może czasem powtarzają za autorem „po co ci wszyscy drużynowi i drużyny - to taki kłopot!”.*

W harcerskim systemie wychowawczym, jak i w każdej organizacji harcerskiej drużyna jest właściwie wszystkim. A już na pewno kwintesencją harcerskiego mikrokosmosu. Ona stanowi dla tych chłopców cały harcerski świat - zarówno jest sceną wszystkich harcerskich wydarzeń, jak i zespołem najbliższych kolegów, czy wreszcie to właśnie w drużynie znajduje się ten, który swoją osobowością do harcerstwa przyciągnął - drużynowy. Patrząc od strony drużynowego, drużyna zajmuje najważniejsze miejsce, gdyż to w niej właśnie znajdują się główne podmioty (albo jak chcą niektórzy - ofiary) pracy wychowawczej czyli chłopcy, to w drużynie tworzone są i realizowane przedsięwzięcia wychowawcze, to drużyna wreszcie stanowi dla drużynowego miejsce realizacji jego pasji, jest próbą i wyzwaniem jednocześnie.

Pozostałe instytucje organizacji harcerskich mają więc na celu jedynie, i aż - wspomaganie drużyn i drużynowych. Zapewniać powinny one właściwe kształcenie kadr instruktorskich, winny wspomagać drużynowych w ich pracy, urabiać opinię publiczną, wskazywać najważniejsze kierunki pracy wychowawczej. Tak się jednak składa, że być może przez nieobce harcerskiej specyfice celebrowanie tytułów i honorów, dokonuje się nierzadko ogromne w tej materii przewartościowanie, prowadzące do prób obniżania roli drużyny i drużynowego na rzecz innych „szarż”. Jako Naczelnik Harcerzy nieraz dostrzegałem takie zapędy u swoich podwładnych. Nie raz także sam się zbyt mocno zagalopowałem. Jakże łatwo przecież siedząc za biurkiem w Głównej Kwaterze dojdę do wniosku, że harcerstwo jest wspaniałe tylko: po co ci wszyscy drużynowi i drużyny - to taki kłopot!

Sądzę, że jednym z głównych kierunków mających na celu przywrócenie harcerstwu stosownego miejsca w społeczeństwie jest przywrócenie właściwej rangi drużynom i

drużynowym. To właśnie w tym miejscu m.in. tkwi źródło wielu naszych współczesnych problemów. Przyzwyczajeni historią i mitycznymi tradycjami harcerstwa (nie dostrzegając jednak tej kilkudziesięcioletniej wyrwy w tworzeniu fachowych kadr i rozwijaniu nowoczesnej myśli harcerskiej) wciąż próbujemy urabiać rzeczywistość na wzór tych naszych idealistycznych wyobrażeń. Jakże często drużyny harcerskie powstają obecnie wbrew zdrowemu rozsądkowi i racjonalnym argumentom. Jakże często gna nas potrzeba zapełniania luk w „uharcerzeniu”, usilne próby powiększenia małych hufców czy też utrzymania przy życiu kulejących, niesfunkcjonujących, a przez to szkodliwych drużyn-niedrużyn z innych, trudnych do wyjaśnienia powodów. Drużyn zupełnie bez perspektyw i przyszłości. Zawsze będą one takie, dopóki brak będzie dla nich właściwych, ideowych, zapalonych i kompetentnych drużynowych. Próbuje się więc łątać rzeczywistość tworząc p.o. drużynowych, „ręcznie” sterując ich pracą, łącząc się w szczepy i próbując pewne sprawy „załatwiać” wspólnie.

Nie darmo w naszej pracy stawialiśmy na pierwszym miejscu sformułowanie, że drużyna winna być osią programowo-metodyczną Związku. Nie chodzi tu tylko o to, że cały Związek powinien pracować na drużyny. Chodzi też o to, że tylko Związek złożony z silnych, samodzielnych i twórczych drużyn ma szansę przetrwania i rozwoju. Tylko tam: w wytrwale poszukujących i żywych drużynach czerpać może swe żywotne soki polskie harcerstwo, tylko tam rodzić się będą odpowiedzi na trudne wyzwania współczesności, tylko w oparciu o takie drużyny tworzyć można programy wychowawcze będące na te wyzwania odpowiedzią. Wreszcie tylko poprzez przykład i wkład takich właśnie drużyn, a nie zdalne sterowanie i zarządzanie - unieść można ciężar organizacyjnych struktur. I nadać im właściwy sens.

Druhu Drużynowy, taką właśnie drużynę przyszło Ci budować. Postaw więc na siebie - na swoją wiedzę, intuicję i umiejętności. Oczekuj też na pomoc i dobrą radę „starych wyżeraczy”, czasem po prostu warto pójść na skróty.

Tak więc sumując, drużyna dla mnie to przede wszystkim drużynowy. Bo to on właśnie nadaje jej zasadnicze rysy: to on ją tworzy i przez cały czas napędza. I właściwie, kiedy odchodzi drużynowy, na dobrą sprawę zwykle kończy się drużyna. Doszedłem do tego wniosku obserwując losy wielu zaprzyjaźnionych drużyn. Niestety jednak, ze szkodą dla świadomości pewnej prawdy o harcerstwie, sprzeciwia się tej konstatacji pewien głęboko w nas zakorzeniony stereotyp. Otóż my, harcerze, ogromnie przywiązujemy się do tradycji. Stąd tak częste w naszej praktyce jest kontynuowanie numeracji i bohaterów czy wreszcie wprost tradycji drużyn istniejących w przeszłości. I jeszcze to, że „dobry drużynowy powinien wychować sobie następcę”. To wszyscy wiedzą. Myślę, że trzeba na to spojrzeć trochę inaczej. Obserwowałem nie raz operacje przekazywania swej drużyny następcy. I bardzo rzadko taka operacja naprawdę się udawała. Najczęściej

następowało po niej „siedem lat chudych”, i to aż dopiero do pojawienia się kolejnej, genialnej indywidualności, albo – aż do „wymarcia” wszystkich wychowanków poprzedniego drużynowego. Mechanizm tego zjawiska jest raczej prosty. Wychowanie w drużynie harcerskiej opiera się głównie o przykład osobisty drużynowego. To też wszyscy wiedzą.

Mówiąc więc krótko, najważniejsze w pracy drużynowego to zafascynować chłopców sobą, a kiedy staniemy się dla nich najwyższym autorytetem – wtedy wystarczy tylko pracować nad sobą, rozwijać się, żyć pełnią harcerskiego życia. Chłopcy i tak będą nas naśladować. Właśnie dlatego, że jesteśmy ich najwyższym autorytetem. I w chwili, gdy ten najwyższy autorytet nagle opuści drużynę, pozostający w niej chłopcy nieuchronnie zapadają na „harcerską chorobę sierocą”. Tym sposobem każdy nowy na miejscu drużynowego trafia w sytuację nienaturalnie napiętą i nienormalną. Musi spróbować wcielić się w ten najwyższy autorytet. Choćby po to, by nie narażać się na takie sformułowania, jak to było po moim opuszczeniu drużyny „daj se facet siana – Marabut by to zrobił inaczej i zrobimy tak jak on by chciał”.

Możliwości zaradzenia w takiej sytuacji są z grubsza dwie:

a) próba wiernego naśladowania poprzedniego drużynowego (wygląda na skuteczną, ale na dłuższą metę nie do przyjęcia -drużynowy musi być samodzielny i oryginalny, bo nie mówiąc własnym głosem – z czasem przestanie mówić (docierać) w ogóle);

b) próba obalenia „siłą” poprzedniego autorytetu (rozwiązanie drastyczne, ale równie a nawet bardziej niż powyższe – niebezpieczne. Bo po pierwsze – poprzedni drużynowy na deklasację zwykle nie zasługuje, a po drugie – taka deklasacja i tak do niczego nie prowadzi, i zwykle się nie udaje). Cóż robię więc w celu uniknięcia powyższych dylematów. Mam na to swoją receptę. Najlepiej drużyny nigdy nie oddawać! Próbowałem poradzić sobie z tym problemem w chwili, kiedy sam zostałem drużynowym. Ciężko doświadczony na samym starcie, kiedy to opuścili drużynę wszyscy moi rówieśnicy, nie mogący zaakceptować mojej osoby, na tle poprzednika (wspaniałego drużynowego hm. Andrzeja Ukleji, któremu po prostu do pięt nie dorastałem), tworząc nową drużynę, zmuszony byłem wykonać nabór wśród chłopców 10-11 letnich, którzy z harcerstwem nic wspólnego nie mieli. Był to pierwszy nabór do drużyny i zarazem... ostatni. Okazało się, że w zupełności wystarczyło. Z tych trzydziestu kilku chłopców na początku, do końca dotarło zaledwie czternastu. Być może to niewiele, pamiętajmy jednak, że proces „obróbki” trwał całe osiem lat. W tym czasie zdążyliśmy polubić się, zaprzyjaźnić i mimo, że drużyny mojej nie ma już prawie tak długo jak długo istniała – nadal spotykamy się „na zbiórkach” dziejących się może raz na pół roku, spotykamy się z żonami, dziećmi, psami... i nadal jakby jesteśmy drużyną. Być może ta ilość 14 chłopców to

niewiele w porównaniu z „przerobem” innych drużynowych, przyjmujących rokrocznie kilkunastu nowicjuszy. Nie obawiam się jednak zarzutów o „pobieżność” mojej pracy wychowawczej, o niewystarczającą więź z wychowankami i ich nieznaną, czy też wreszcie brak czasu. Jakoś tak się złożyło, że nigdy nie wierzyłem w marksowskie przechodzenie ilości w jakość. I tak mi zostało.

Gdzie jednak istota przyjętego przeze mnie rozwiązania? Ot choćby, dzięki takiemu podejściu uniknąłem m.in. problemów z przekazywaniem drużyny komukolwiek lub z przekazywaniem moich chłopców komu innemu (przejście do drużyny wędrowniczej). Myśmy po prostu rośli wspólnie. Zgodnie z jedną z zasad harcerskiej metodyki dokonywało się „wzajemne wychowanie” – ja próbowałem wychowywać drużynę, a drużyna wychowywała mnie. Chłopcy rośli, mieli co raz poważniejsze problemy, a i ja przez to między innymi stawałem się co raz bardziej przygotowany do ich rozwiązywania. Kiedy wreszcie moi harcerze dorosli do przejścia do drużyny wędrowników, okazało się, że ja właśnie dorosłem do prowadzenia drużyny wędrowniczej. I staliśmy się nią po prostu. Tak samo jak teraz jesteśmy „drużyną starych przyków” i dobrze nam wszystkim z tym. Bo razem wspólnie z harcerstwa... wyrosliśmy. Historia mojej drużyny daje też odpowiedź na pytanie: drużyna jedno czy wielopoziomowa. Ja wybrałem wariant jednopokoleniowy, choć nie było w tym szczególnej ideologii. W trakcie ośmiu lat pracy przychodzili przecież pojedynczy nowicjusze – często młodsi od moich chłopaków ale też równoletkowie. Adaptowali się doskonale i włączali z czasem w nasz zespół. Nie był to jednak wynik zorganizowanych „naborów”, a raczej wciąganie przeróżnych „krewnych i znajomych Królika” do wspólnej kompanii. I nie chcę tu powiedzieć, że drużyna wielopoziomowa, przyjmująca co roku zastęp „nowozaciężnych” itp. jest rozwiązaniem złym. Może to ja po prostu nie umiałem inaczej. Przyznam się nawet, że raz spróbowałem ponowić nabór tworząc zastęp Morsów – dużo młodszych chłopców prowadzonych przez dobrego zastępowego. Cóż, jego samodzielność, a także dalsza owego zastępu historia wskazały, że była to już inna, całkiem nowa drużyna. I dobrze.

Trochę pejoratywnie pisałem na początku o przejmowaniu i kontynuowaniu tradycji i numerów drużyn z przeszłości – nawet tej nieodległej. Nie uważam tego za zły proceder. Sam to przecież w gdańskiej 1 WDH zrobiłem. Myślę jednak, że nie to jest najważniejsze. Kto wie czy nie więcej frajdy i pożytku ma drużyna z własnych: od nowa i „własną krwią i potem” stworzonych tradycji, które wszyscy rozumieją i stosownie przeżywają. Jakże często tradycje odległe i nie przystające do współczesnej umysłowości, stają się kulą u nogi i sztuczną, niesprawną atrapą. Szkoda.

Jak to więc jest z tym wychowywaniem następcy. Myślę, że trzeba to rozumieć jako wychowywanie instruktorów w ogóle. Wychowywanie „następców”, którzy przejmą dorobek, doświadczenia i osiągnięcia instruktorskie drużynowego po to by

spożytkować je w swoich własnych drużynach. Tak właśnie rozumiem istotę następstwa. I tak najchętniej bym ją widział. Poprzez danie każdemu szansy budowania od nowa (w oparciu o doświadczenia swego mistrza) wymarzonej rzeczywistości wychowawczej, swoich własnych narzędzi i sposobów, wreszcie – swojej drużyny. I tu już szczególnie kamyczek do ogródka zwolenników tworu zwanego w harcerstwie szczepem (będzie o szczepie osobny rozdział). Zawsze współczułem drużynom działającym w szczepach, gdzie wszystkie drużyny mają ten sam numer i te same barwy, gdzie istnieje jeszcze szereg innych wyróżników i praktyk wiążących je i czyniących właśnie ze szczepu jednostkę szczególną i najważniejszą. Według mnie zatracają one tam swój niepowtarzalny charakter, przestają być rodziną, a stają się jedynie – jednostkami organizacyjnymi. Nie zawsze, ale zdarza się, że szczep o bardzo ścisłej formule osłabia ogromnie poczucie przynależności harcerzy, rozkładając je na większe, często niedziałające na co dzień razem zbiorowości. Sytuacja taka może wpływać też hamująco na inicjatywę drużynowego i wreszcie osłabiać drużynę jako zbiorowość, odbierając jej poczucie integralności i odrębności, czyniąc z niej zarazem jeden z powtarzalnych i wymiennych elementów szczepu.

Dość tylko, że myśmy w 1 WDH zawsze pragnęli, by nasza drużyna była niepowtarzalna, wyróżniała się spośród innych. Także w tych tak widocznych atrybutach zewnętrznych. Czy to źle? Być może było z nami trochę tak jak z warszawską 16-tką, o której Koźniewski powiedział kiedyś: „oni nie byli harcerstwem, oni byli szesnastką”. Przegięcie? Być może.

*Zdjęcie w tle: Agata Wrzosek*

### Tomasz Maracewicz

Harc mistrz, kapitan jachtowy, z zawodu oficer marynarki handlowej, a także biolog i broker ubezpieczeniowy. Był harcerzem, a od 1978 roku przez kolejne osiem lat drużynowym Pierwszej Wodnej Drużyny Harcerzy im. Tadeusza Kościuszki w Gdańsku. Równocześnie w latach 80. XX wieku był wiceprzewodniczącym gdańskiego KIHAM i działaczem Ruchu Harcerskiego. Potem został jednym z założycieli Związku Harcerstwa Rzeczypospolitej, pierwszym Naczelnikiem Harcerzy oraz – kilkakrotnie – członkiem władz naczelnych ZHR. W międzyczasie został ojcem aż trzech wspaniałych synów, Ignacego, Kajetana i Wiktora, którzy również przeszli przez harcerstwo. Był współtwórcą pisma instruktorskiego „Pobudka”, kursu podharc mistrzowskiego „Jakobstaf” oraz powołanej później fundacji noszącej tę samą nazwę. W latach 2011–2014 pełnił funkcję prezesa Fundacji Harcerstwa Centrum Wychowania Morskiego ZHP w Gdyni. Autor książek i podręczników o tematyce zarówno harcerskiej, jak i żeglarskiej. Obecnie instruktor Mazowieckiej

Chorągwi Harcerzy ZHR w rezerwie.